

W górach trzeba wierzyć w siebie - wywiad z Krzysztofem Wielickim

Komunikaty

Miasto

Sport

07.02.2025 g. 10:00



Jeden z najwybitniejszych himalaistów świata i piąty człowiek na świecie, który zdobył 14 ośmiotysięcznych szczytów Ziemi. Na trzy z nich: Mount

Everest, Kanczendzongę i Lhotse wszedł zimą jako pierwszy. Krzysztof Wielicki opowiedział nam o swojej drodze na szczyt i sztuce pozytywnego cierpienia.



- Rozmawiamy na początku roku, dlatego chciałbym wrócić wspomnieniami do tego, co wydarzyło się 37 lat temu, w sylwestra 1988 roku. Jako pierwszy człowiek na świecie wszedł Pan samotnie na czwartą górę świata - Lhotse. Miał Pan na sobie gorset ortopedyczny, po poważnej kontuzji kręgosłupa. Zastanawiam się ile pewności siebie i hartu ducha trzeba mieć w sobie, aby porwać się na takie wyzwanie, w dodatku zimą?

- Myślę, że ważniejsze dla mnie było to wyzwanie niż ten gorset. Belgowie zaprosili nas na własny koszt na wyprawę i nie mogłem nie skorzystać z takiej wyjątkowej okazji. Zresztą lekarz, do którego chodziłem w kraju na regularne kontrole, nic o tym nie wiedział. Tu trzeba było podjąć szybką decyzję. Na miejsce poleciliśmy z

przyjaciółmi, wspinaczami z Polski.

- A jak to się stało, że na szczyt wszedł Pan sam?

- Po tym, jak Belgowie odpuścili akcję górską prowadzoną na Mount Evereście, skupiliśmy się na Lhotse i doszliśmy w czwórkę do Kotła Zachodniego na wysokość 6500 metrów, gdzie zrobiło się okno pogodowe. Dobra pogoda zimą to rzadkość, bo zwykle wieje tu silny wiatr, a temperatura wynosi około minus 30 stopni Celsjusza. Trudno jest się wstrzelić, tym bardziej, że w tamtym czasie nie było dokładnych prognoz pogodowych. Poszedłem do Andrzeja Zawady i mówię, że jest okno pogodowe, że trzeba natychmiast iść. Andrzej chciał czekać, ale ja się uparłem. I uciekłem można powiedzieć (śmiech). Ja myślę, że moi koledzy myśleli, że podejść pod górę, pójść po rozum do głowy i wrócić, a stało się inaczej i w pojedynkę zdobyłem szczyt.

- Czy to, że wspinał się Pan solo i mógł polegać wyłącznie na sobie, dodawało Panu siły i energii?

- Nie, u mnie to była kwestia wiary w siebie i swoje umiejętności. Ta wiara w siebie nie brała się z oczywiście z powietrza. Ja odróżniam ryzyko od ryzykanctwa. Po 15 czy 20 latach wspinania wierzyłem, że dzięki zdobytemu doświadczeniu sobie poradzę i to dodawało mi energii, aby iść w górę. Mam też taką cechę, że w momencie wspinaczki potrafię się maksymalnie skoncentrować. Nie myślę o domu i bliskich, jestem tu i teraz. Liczy się zadanie do wykonania i nic poza tym nie jest dla mnie ważne. Natomiast po zdobyciu góry, najszybciej jak to możliwe wracałem do domu i najbliższych.

- Nawet na chwilę nie zwątpił Pan, że może się udać?

- Szło mi dobrze do szczytu, a dopiero w zejściu zacząłem mieć problemy, bo wtedy poczułem nawracający ból kręgosłupa. Był to ból, który dało się wytrzymać, ale który spowodował, że wolniej schodziłem i musiałem robić częstsze przerwy. No i muszę powiedzieć, że w trakcie schodzenia już byłem w hipotermii, dostałem drgawek z powodu wyziębienia. Pomogło mi to, że zobaczyłem na dole niewielki punkcik, który przemieszczał się w moją stronę. Ktoś z Kotła Zachodniego idzie w moim kierunku! Muszę powiedzieć, że dało to mi tyle energii, dostałem psychicznie taki „power”, że udało mi się szczęśliwie zejść do namiotu, w którym czekał na mnie Leszek Cichy, mój wspinaczkowy partner. Tak jak w życiu, czasem wystarczy spojrzeć na przyjaciela, żeby wiedzieć, że można na niego liczyć i to dodaje energii do działania.



Od lewej: Andrzej Pawlik, Andrzej Mierzejewski i Krzysztof Wielicki w Pamirze w 1977 roku

- Jerzy Kukuczka komentując Pana wyczyn na Lhotse powiedział, że udowodnił Pan, że Polacy w Himalajach zimą są po prostu bezkonkurencyjni. Co Pana zdaniem zdecydowało, że jako nacja tak dobrze radziliśmy sobie zimą w najwyższych górach?

- To wynikało głównie z tego, że Polacy nie mieli możliwości brać udział w eksploracji gór wysokich w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Kiedy wszystkie najważniejsze szczyty zostały zdobyte przez wspinaczy z zachodniego świata. Nie było wśród nich Polaków. Kiedy się trochę poprawiły możliwości wyjazdowe to moi starsi koledzy od razu pomyśleli o wspinaniu zimą w Himalajach. A jak Himalaje to zdaniem Andrzeja Zawady, który zawsze mierzył wysoko, należało od razu zdobywać najwyższą z gór, czyli Mount Everest.

- 17 lutego 1980 roku wspólnie z Leszkiem Cichym, jako członkowie

narodowej wyprawy na Mount Everest pod kierownictwem Andrzeja Zawady, dokonaliście pierwszego zimowego wejścia na ośmiotysięcznik i od razu ten najwyższy.

- Tak to była bardzo dobra decyzja, bo koledzy z innych klubów wysokogórskich od razu wyczuli, że jest to szansa dla Polaków na napisanie nowej historii w górach wysokich. Proszę mi wierzyć, nasze pokolenie bardzo chciało ją zapisać. I tak się stało. Z 14 najwyższych ośmiotysięczników świata, aż 10 Polacy zdobyli zimą jako pierwsi i zyskali miano „lodowych wojowników”.

- Ktoś powiedział, że wspinaczka zimowa w najwyższych górach to swoista sztuka cierpienia. Czy umiejętność znoszenia cierpienia mamy wypisaną w genach?

- Cierpienie może być wartością, jest pozytywne wtedy, gdy prowadzi do upragnionego celu. My uprawialiśmy takie cierpienie, które było warunkiem do tego, aby osiągnąć zamierzony cel. Było wynikiem naszego zamierzonego działania, wysiłku, który musieliśmy włożyć, aby wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności i ludzkich możliwości. Wydaje mi się, że moje pokolenie wyznawało właśnie taką filozofię cierpienia pozytywnego.



Lodowi Wojownicy. Stoją od prawej: Krzysztof Wielicki, Wanda Rutkiewicz, Jacek Pańkiewicz, Jerzy Kukuczka

- A jak radził Pan sobie ze stresem związanym ze wspinaczką?

- Ja nigdy się nie poddawałem, miałem też dużą zachłanność na emocje i potrzebę adrenaliny. Wierzyłem też, że dam radę, że nic złego nie może się wydarzyć. Ta wiara jest strasznie potrzebna. To pomogło mi w kilku sytuacjach trudnych, jak wtedy, gdy na Dhaulagiri utknąłem w ścianie, znalazłem się w pułapce. I tam ja uwierzyłem, że muszę dać radę, nikt mi przecież nie pomoże, jestem zupełnie sam. Miałem wtedy omamy, że ktoś mi się pojawiał, ktoś bez twarzy, płci, nie wiem, ktoś, którego się radziłem - pytałem w lewo czy w prawo? W sytuacjach ekstremalnych widocznie szukamy pomocy w drugim człowieku, nawet, gdy przy nas nikogo nie

ma.

- W jednym z wywiadów powiedział Pan, że „hobby się zmienia z pasją się umiera”. Czy czuję się Pan spełniony? Czy nadal pcha Pana w góry i czy jest coś czego chciałby Pan jeszcze doświadczyć w górach?

- Czuję się spełniony, ale ponieważ jest to pasja, z którą się umiera, to ja się z niej nie wycofam nigdy. Oczywiście wraz z wiekiem człowiek obniża poprzeczkę, ale góry są moim życiem i nadal staram się co roku robić coś w nich eksploracyjnego. Zwłaszcza, że jest dużo dziewiczych szczytów sześciotysięcznych, gdzie można się wspinać bez tłumów i bez tej medialnej „napinki”, która tak często towarzyszy wspinaczom w górach wysokich.

- Co mógłby Pan doradzić młodym ludziom, którzy, tak jak w opolskich klubie „Zerwa” marzą o dalekich wyprawach w góry wysokie? Jakie cele sobie stawiać, gdzie szukać inspiracji?

- Z punktu widzenia osobistego, każda góra, którą zdobywamy pierwszy raz, jest dla nas czymś nieodkrytym. W tym wymiarze osobistym jest nieskończoność możliwości. Uważam, że w górach jest miejsca dla każdego. Nie wszyscy ze ścianki wspinaczkowej pójda się wspinać w Himalaje. Mogą się wspinać w Tatrach, Alpach i Dolomitach, ważne, żeby robili to z zapałem i pełną determinacją. Często mówię młodym ludziom, żeby uwierzyli w siebie, bo młodzi często nie wierzą, że są w stanie w górach zrobić bardzo wiele. Powtarzam im wtedy „take it easy” i „step by step”. Góry się nie przewracają. Poczekają na Was i na wasze sukcesy.

- Dziękuję za rozmowę.



Krzysztof Wielicki po zdobyciu Naga Parbat

Dane kontaktowe

Urząd Miasta Opola

ul. Rynek 1A

45-015 Opole

77 45 11 800

urząd [at] um.opole.pl

www.opole.pl

Lokalizacja

Tagi

wywiad